

Czego możemy się nauczyć od sejmu staropolskiego?

4 maja 2014

Choć w historii nasze tradycje sejmowe bardziej kojarzą się nam z anarchią i osobliwym sposobem rozumienia słowa „wolność” to rodzimy parlamentaryzm może być także doskonałą lekcją dla współczesnych. Sęk w tym, żebyśmy chcieli wyjść poza narzucony w szkole schemat.

W czasie rozlicznych uroczystości które odbywają się w przy okazji rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 maja, bardzo często padają słowa o tym, że Ustawa Rządowa kończyła z niechlubnym okresem anarchii, a czasem wręcz negowała staropolską tradycję parlamentarną. Stawianie ówczesnego dokumentu w kontrze do poprzedzającego ją okresu jest jednak błędem, bo choć reformował on niektóre fundamenty rodzimej demokracji, często przekraczając dotychczasowe wyobrażenia i przyzwyczajenia, to jednak wyrastał z korzeni polskiego republikanizmu i na nim się opierał. U podstaw leżało bowiem przekonanie, że szlachta jest odpowiedzialna za państwo nie tylko jako wspólnota obywatelska, co wręcz jako właściciele i jej prawowici spadkobiercy. W akcie konstytucyjnym otwierały się także XVI-wieczne tęsknoty za kodyfikacją prawa, które – jak wierzano – miały uchronić przed zgubnym i chwiejnym obyczajem. To co wykraczało poza dawne rozumienie istoty demokracji, to modyfikacja pojęcia „obywatel” i „naród”, które przestawały być przynależne określonej społeczności lecz (choć jeszcze nie radykalnie) mogły być rozszerzane na ogół mieszkańców dawnej Rzeczypospolitej. Jeśli chłopów nazywano w Ustawie Rządowej największą ludnością w narodzie, a mieszczańskim z miast królewskich przyznawano prawo do zasiadania w sejmie, to pomimo tego, że ze współczesnej perspektywy wydają się to decyzje dość konserwatywne i anachroniczne, to dla naszych przodków były kamieniem milowym w patrzeniu na rzeczywistość.

Konstytucja 3 maja była więc mieszanką nowoczesnych prądów Oświecenia, zrywających z przyzwyczajeniami i mitami feudalizmu, z mocnym osadzeniem w tradycji polskiego parlamentaryzmu, który dla ówczesnych był największą chlubą, pomimo rozumienia jego potężnych wad. Jeśli więc dziś świętujemy rocznicę ustanowienia konstytucji to nie tylko dla niej samej, ale także w hołdzie dla całego dziedzictwa republikańskiego. Niestety, upadek Rzeczypospolitej i w dużej mierze XIX-wieczna refleksja nad jego przyczynami zdeformowała nasze spojrzenie na polski sejm, czyniąc z niego wyłącznie źródło anarchii, rozpasania, kłótni i wszelkich wad narodowych. O ile taka wizja była zrozumiała dla refleksji doby rozbiorów, kiedy panował powszechny zawód nad przeszłością, o tyle dzisiaj kultuwanie narracji pełnej wstydu i negacji nie pozwala nam nie tylko polubić swojej historii, ale wręcz blokuje naszą umiejętność znalezienia się we współczesnym systemie politycznym, do którego niechęć budowana jest w nas od najmłodszych klas szkoły podstawowej, kiedy dominującym sposobem opisu demokracji jest „złota wolność” i spowodowany nią bałagan.

Czego więc możemy się nauczyć od parlamentaryzmu staropolskiego? Po pierwsze odpowiedzialności. Choć z punktu widzenia historii może się nam to wydawać zabawne, to u podstaw rodzimego sejmu legła właśnie ta wartość. Źródła demokracji szlacheckiej tkwią bowiem w okresie kiedy tron polski opustoszał po śmierci Kazimierza Wielkiego, a następnie Ludwika Węgierskiego. Niektórzy dostrzegają jej korzenie nawet wcześniej, w czasie rozbitcia dzielnicowego, kiedy rosło wśród rycerstwa poczucie, że oni są dysponentami władzy. To na nich w głównej mierze spadała odpowiedzialność za stan państwa w okresie bezkrólewia, co najdobitniej dało się odczuć w 1444 i 1572 roku kiedy ziemski padół opuszczali Władysław Warneńczyk i Zygmunt August, a państwo zagrożone było chaosem. Owa odpowiedzialność, choć często rozmywana przez partykularyzm, trwała jeszcze w XVIII wieku, kiedy w czasie III wojny północnej na terenie Rzeczypospolitej powstawały Komisje

Skarbowe, których zadaniem było przejęcie części kompetencji nie funkcjonujących organów państwa. Był więc w dawnej Polsce i Litwie zwyczaj brania spraw we własne ręce w sytuacji kiedy państwo nie działało, lub działać nie mogło. Odpowiedzialność rodziła się z poczucia przynależności, a przynależność wymuszała aktywność. Czy to nie wzorzec, który mógłby przełamać współczesną bierność? Czy poczucie, że państwo należy do nas nie jest najistotniejszym elementem rozwoju demokracji?

Po drugie wartością staropolskiego parlamentaryzmu był kompromis, splamiony dzisiaj niezrozumieniem idei liberum veto i postrzeganiem jej wyłącznie z perspektywy późniejszych patologii. Jeśli dawny sejm dążył do jednomyślności to nie dlatego, że demokracji nie rozumiał, ale paradoksalnie pojmował ją lepiej niż my dzisiaj. Współcześnie za demokrację uznajemy dyktaturę większości, której decyzje są wiążące tylko z tego powodu, że owa większość tego się domaga. Zwyczaj staropolski większości nie odrzucał, ale zwracał uwagę na potrzebę powszechnej zgody, zwłaszcza, że poseł nie był li tylko przedstawicielem samego siebie, lecz sejmiku, który go wybrał. Zasada większości miała jedynie usprawniać obrady w sytuacji szczególnej potrzeby, nie zaś zastępować istotę demokracji. Jej sednem było bowiem wspomniane wcześniej uczestnictwo i poczucie obywatelskości. Jeśli mówimy o obywatelstwie to kształtowało się ono nie tylko jako zespół posiadanych praw czy obowiązków, ale także jako element tożsamości. To na przykład umożliwiło funkcjonowanie w Rzeczypospolitej względnej tolerancji religijnej, gdyż jej brak podważyć mógł istotę obywatelskości. Spoiwem obywatelskości były posiadane prawa nie zaś wyznanie, czy etniczność. Aż trudno uwierzyć, że dziś to, co tak doskonale rozumieli nasi przodkowie, jest kompletnie niezrozumiałe. Widać w tym pojmowaniu obywatelskości element kultury kompromisu, w której brano pod uwagę, że ludzie mogą różnić się ideami czy poglądami, ale najważniejszy jest cel, który chcą osiągnąć i wspólnota do której przynależą. Co ciekawe kryzys

Rzeczypospolitej przyszedł nie w momencie, w którym pojęcie kompromisu zaistniało, ale kiedy zaczęło być negowane, kiedy zapomniano, że wymaga ono rezygnacji z części własnych przekonań czy interesów.

Po trzecie staropolski parlamentaryzm uczyć nas może wagi słowa i mocy retoryki. Gdyby ktoś miał ochotę wczytać się choćby w jeden diariusz sejmowy z tego okresu dostrzegłby wyraźną różnicę jaka dzieli dzisiejszych „tuzów sejmowych” od elity parlamentarnej czasów nowożytnych. Owszem przeciętny poseł był i wtedy figurą dość przeciętną, ale on najpewniej w historii się nie zapisał. Ci, którzy się zapisali potrafili zachwycić kunsztem mowy i wiedzą, która – choć często schematyczna – przewyższała nie jednego współczesnego absolwenta kierunków humanistycznych. Staropolskie mowy są przykładem doskonałej argumentacji, umiejętności kształtowania wywodu historycznego, który choć czasem bałamutny, to jednak świadczący o ogromie informacji o świecie posiadanych przez mówcę. Czy potrafi was dziś wzruszyć do łez wypowiedź jakiegokolwiek polityka? Pozwolę sobie więc przypomnieć, że po mowie posła Boratyńskiego z 1548 roku, nawet król miał uronić łzę.

Trzecia lekcja jaka wypływa z dawnego parlamentaryzmu może być nieco przewrotna. Uczy on nas bowiem tego, że nie warto rozpływać się w zachwycie nad zastaną rzeczywistością. Naczelnym grzechem okresu staropolskiego był samozachwyt w jaki wpadało wielu przedstawicieli ówczesnej elity. To poczucie misyjności, stworzenia systemu idealnego, predestynacji do rzeczy wielkich, było gangreną zżerającą system demokracji szlacheckiej od środka, pozostawiało go bowiem w konserwatywnym poglądzie, że nic nie należy zmieniać, bo każda zmiana jest jedynie zagrożeniem i wynika ze złej woli. Strach przed zmianą powodował pogłębianie się patologii, które choć dostrzegalne, wydawały się lepsze od wszelkiego rodzaju modyfikacji. Pojedyncze sukcesy odnoszone nawet w okresach beznadziei (np. odepchnięcie najazdu szwedzkiego w

1660 roku, czy zwycięstwo pod Chocimem i Wiedniem) były jedynie potwierdzeniem, że mimo wad wózek może być ciągnięty dalej, choć torowisko zmierza ku przepaści.

Czy te krótkie i – siłą rzecz – skrótowe refleksje nad polskim parlamentaryzmem nie wydają się być szalenie aktualne? Nie chce przez to powiedzieć, że stałem się zwolennikiem naiwnego patrzenia na historię jak na nauczycielkę życia. Człowiek od dziejów nie nauczył się nigdy niczego i nauczyć się nie może. Może jednak potraktować ją jako inspirację, do czego szczerze wszystkich zachęcam.

Autor: Sebastian Adamkiewicz

Źródło: Histmag.org

Licencja: [CC BY-SA 3.0](https://creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/)